



Mirosław Derecki (md)

## EKRAN I WIDZ: „PŁONĄCY WIEŻOWIEC”

Ci wszyscy, którzy chcieliby wiedzieć jak wygląda pożar 158-piętrowego budynku i jak w takich warunkach przebiega akcja ratownicza straży pożarnej, powinni się wybrać na amerykański „Płonący wieżowiec” w reżyserii Johna Guillermana. Barwny, szerokoekranowy (kopie 70 mm) i stereofoniczny film, zrealizowany z zastosowaniem najnowszych osiągnięć techniki trickowej, zadziwia przede wszystkim właśnie swoją stroną techniczną. I o to zresztą chodziło realizatorom, którzy mniej uwagi poświęcają literackiej czy psychologicznej warstwie „Płonącego wieżowca”, zatracającej niejednokrotnie o sztamę i mizerny banał. Czarne i białe charaktery rysowane są grubą krechą, sprawy miłości potraktowano w sposób doskonale cukierkowy, „grzeszników” spotyka zasłużona kara, szlachetni i odważni na pewno się uratują a przesłanie moralne wynikające z filmu nasuwa myśl o naukach głoszonych w szkółce niedzielnej w XIX-wiecznych Stanach Zjednoczonych.

Ale nie o to chodzi, żeby mnożyć słuszne skądinąd zarzuty, bo wybierając się na „Płonący wieżowiec”, czy inny podobny film z gatunku „katastroficznego”, z góry godzimy się na pewną konwencję (tak jak np. w filmach ze słynnym Toni Seilerem nie wymagaliśmy od tego eksportowca dobrej gry aktorskiej, tylko by dobrze jeździł na nartach), ale żeby uświadomić sobie, że nawet najbardziej „katastroficzny” film nie może zejść poniżej jakiejś granicy artystycznej. Producenci najczęściej starają się „wyrównać poziom” przez angażowanie słynnych gwiazd filmowych, którym scenariusz pozostawia wprawdzie niewiele możliwości na pokazanie talentu, ale za to dają, one filmowi swoją „twarz” i swoje nazwisko, co zresztą tym bardziej podnosi atrakcyjność reklamy. Dlatego w „Płonącym wieżowcu” grają Steve McQueen, Paul Newman, Faye Dunaway, Fred Astaire i Richard Chamberlain, do „Tragedii Posejdona” zaangażowano Gene Heckmana, a do „Trzęsienia ziemi” - Ave Gardner i Charltona Hestona.

W filmach „katastroficznego” nie mniej od znanych aktorów liczą się nazwiska słynnych specjalistów od „efektów specjalnych” czy „specjalnych efektów fotograficznych”. W „Trzęsieniu ziemi” Marka Robsona sukces „artystyczny” został zapewniony przede wszystkim dzięki zastosowaniu nowej techniki wibracji kamery co dawało odpowiedni efekt

wstrząsów oraz nowej techniki miksowania pozwalającej oddać w stereofonii efekt nieustannego grzmotu towarzyszącego kataklizmowi.

Zwolennicy filmów „katastroficzych”, a także ich producenci, którym zależy na pozyskaniu wyrobionych filmowo widzów, podnoszą często „socjo-psychologiczny” aspekt tych „gigantów”, które mają jakby wychodzić przeciw narastającemu w społeczeństwie przekonaniu, że ludzkość znalazła się w punkcie zwrotnym, bezsensownych perspektyw i że takie właśnie filmy „dają upust narastającym tu i ówdzie przeczuciom katastroficznym”. Ale tak naprawdę, filmy „katastroficzne” traktujemy przede wszystkim jako zręczną, techniczną łamigłówkę, w której widza głównie interesuje jakimi środkami technicznymi reżyser wybrnie w sposób najbardziej „uprawdopodobniony” z określonej regułami gry sytuacji. Wszystkim doskonale wiadomo, że z płonącego wieżowca wylatują kukły, a sama „Szklana Wieża”, która ulega straszliwej katastrofie, ma w istocie kilka metrów wysokości ale szacunek i podziw dla reżysera staje się tym większy im rzadziej daje się on widzowi „złapać” na niezręcznościach trickowych i technicznych. Od początku wiadomo, że główni bohaterowie wyjdą cało z opresji a miłość, prawo i porządek zatriumfują, podobnie jak to się dzieje w filmach detektywistycznych. W obu wypadkach głównym motywem napięcia i ekscytacji staje się nie tyle warstwa fabularna czy zakończenie filmu, ile rozwiązywanie przez widownię szarady kryminalnej bądź też „technicystycznej”.

W odróżnieniu od innych tego rodzaju filmów „Płonący wieżowiec” ma szczególnie dwie zalety, na które warto zwrócić uwagę: podkreślenie, że najwspanialszy nawet wytwór myśli technicznej może być przyczyną najstraszliwszych kataklizmów oraz ukazanie środowiska ludzi, którzy ratują „płonące wieżowce” i często, mimo stosowania najnowszych środków technicznych, swój zawód i swoje poświęcenie przypłacają życiem. Być może „Płonący wieżowiec” spełnia największą rolę kiedy przywraca dawny szacunek dla strażaków, ludzi walczących z ogniem.

Więcej na temat treści takiego filmu nie wolno sprawozdawcy pisać. Jak wygląda płonący wieżowiec przekonają się ci, którzy zdecydują się, po zapłaceniu pięćdziesięciu złotych, spędzić ponad trzy godziny w kinie „Kosmos”. Wszystkim innym polecam amerykański film „policyjny” Sidneya Lumeta z udziałem Ala Pacino - „Serpico” o którym - w następnym felietonie.